

Stanisław Olszewski

część I z II

Sygnatura notacji: **N0947**
Data urodzenia: **1932 r.**
Data nagrania: **13.05.2013 r.**
Miejsce nagrania: **Dom świadka, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sudoł**
Czas nagrania: **część I: 55 min, część II: 57 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Stanisław Olszewski: Nazywam się Stanisław Olszewski, jestem z zawodu fizykiem teoretykiem. Zajmuję się fizyką kwantową. Od lat już bardzo wielu, od kilkudziesięciu. A urodziłem się w grudniu 1932 roku, czyli już mam pełne 80 lat w tej chwili skończone.

Tomasz Sudoł: I urodził się pan w Warszawie tutaj, prawda?

Stanisław Olszewski: Tak, w Warszawie.

Tomasz Sudoł: I w którym miejscu mieszkał pan z rodzicami przed wojną?

Stanisław Olszewski: Przed wojną mieszkałem w dwóch miejscach. W pierwszym to była Marszałkowska 142, róg Rysiej. Tak, to był ten numer domu. A później mieszkałem na Sienkiewicza właśnie w tym domu, o którym wspominałem już panom. To była Marszałkowska 124 od strony Marszałkowskiej, ale mieszkanie było od Sienkiewicza 12, na czwartym piętrze, ale to był ten sam budynek. To był budynek... właścicielem była PKO, Poczta Kasa Oszczędności, bo wtedy chyba się tak nazywało to PKO, a budynek był zbudowany przez Towarzystwo Ubezpieczeń Rosją, jeszcze przed pierwszą wojną światową, czyli około 1900 roku. Dokładnie była data na budynku, 1900 rok, pamiętam. Na ścianie budynku. To był elegancki budynek. Mam to zdjęcie, bo ono zostało zamieszczone, tego budynku, w albumie o prezydencie Starzyńskim. Tam jest pełne zdjęcie tego budynku. Moi rodzice prowadzili przedsiębiorstwo chemiczne. To znaczy wytwórnię i sprzedaż odczynników chemicznych. Głównie do analiz, ale nie tylko, lekarskich,

ale i naukowych analiz, ale także prowadzili wytwórnictwo farb, lakierów i tak zwanych impregnatorów, czy to się nazywało cellony, które impregnowały jakieś materiały, jakieś tego rodzaju tworzywa i może jeszcze wiele innych rzeczy, o których ja już nie pamiętam. Ale głównie to były odczynniki chemiczne i oczywiście wiele było importowanych, nie tylko z własnej produkcji, ale produkowali też we własnym zakresie.

Tomasz Sudół: W którym miejscu ta firma miała swoją siedzibę?

Stanisław Olszewski: Była właśnie w tym budynku Marszałkowska 124 – sprzedaż, a produkcja odbywała się przy ulicy Okopowej 60. To był jeden z pawilonów garbarni Pfeifferów przy ulicy Okopowej. I tam rodzice dzierżawili ten jeden z tych pawilonów.

Tomasz Sudół: A kto był głównym odbiorcą tych produktów?

Stanisław Olszewski: Myślę, że głównie szpitale, uczelnie. To byli główni odbiorcy, jeśli chodzi o odczynniki chemiczne. Jeśli chodzi o farby, lakiery, to może jakieś budowlane przedsiębiorstwa. Tego bliżej nie wiem. Nie, trudno mi określić. Trochę wojsko też brało, jeśli chodzi o te uodparniacze dotyczące... te cellony, czyli to były specjalne takie lakiery, właściwie to nie jest właściwe słowo. To są raczej takie żywice, którymi pokrywano powierzchnie, które należało chronić od wilgoci, od nasiąkania wilgocią. I to właśnie wtedy nazywano cellony, i rodzice produkowali, ta firma produkowała to. Oczywiście byli pracownicy, to była firma, która zatrudniała około 40 osób.

Tomasz Sudół: Czyli oboje pana rodzice byli z wykształcenia chemikami, tak? Zarówno mama, jak i tata?

Stanisław Olszewski: Tak. Właściwie oboje, z tym że matka była i farmaceutką. Miała, może bardziej była związana z farmacją, była magistrem farmacji, ale w końcu utkwiała w chemii, ponieważ miała jako farmaceutka sporo do czynienia z chemią. Tak że to wszystko było raczej nastawione na chemię, mimo że wykształcenie rodziców akurat może całkowicie nie odpowiadało temu zajęciu.

Tomasz Sudół: A jak pan zapamiętał ten odcinek ulicy, tam przy Marszałkowskiej 124?

Stanisław Olszewski: O tak, tam pamiętam sklepy, jakie były w tym budynku. Zresztą ktoś już się do mnie o to zwracał, więc pierwszy był na rogu Sienkiewicza i Marszałkowskiej. Znaczący, patrząc pierwszym od strony Alei Jerozolimskich to był po prawej, po parzystej stronie budynek. On istnieje, został obudowany, tylko w innym stylu. Teraz tam jest centrala PKO. Więc był „Brun i Syn”, taka fabryka narzędzi rolniczych, ogrodniczych. To był pierwszy sklep, drugi był sklep Ćmielów, z porcelaną. Trzeci był właśnie mikrochemia z chemikaliami, później było takie wejście, które do dziś istnieje. I tam nawet są jeszcze ślady przedwojennego wystroju tego wnętrza, bo ja tam zajrzałem i zainteresowało mnie. Bo ten budynek nie był całkowicie zrównany z ziemią. Był spalony, więc parter był mniej więcej trochę odbudowany, zresztą przez rodziców po wojnie też. Później to zostało im odebrane. To było do tego wejścia, które było w samym środku tego budynku, patrząc od strony Marszałkowskiej. Więc po tym wejściu był ten Modro, zegarmistrz, później Urlich, był taki sklep z nasionami i na samym rogu z ulicą Moniuszki, bo ten budynek wychodził na ulicę Moniuszki,

to był sklep z futrami, Szol. Taki duży sklep z futrami. I później już było od Moniuszki, to już nie pamiętam w tej chwili... To już były jakieś mniejsze sklepy i w ten sposób ten budynek wychodził na trzy ulice.

Tomasz Sudół: A pan jako dziecko, gdzie się wtedy na przykład... mieliście jakieś ulubione miejsce zabaw tam w okolicy?

Stanisław Olszewski: Nie, na podwórku mi nie pozwalano bawić się wtedy. W przedszkolu, ja chodziłem do przedszkola prywatnego na ulicę Czackiego, to był właśnie, ta ulica... istnieje – Dowcip. To jest taka odnoga ulicy Czackiego w te chwile i przed wojną też była. Ten budynek nie istnieje, budynek przedszkola, to było prywatne przedszkole i szkoła powszechna Heleny Chełmońskiej, pani Heleny Chełmońskiej. Ona była właścicielką tego przedszkola i tej szkoły, i prowadziła. I tam właśnie to było miejsce zabaw. A głównie, jeśli chodzi o zabawy, to był Ogród Saski niedaleko i Plac Dąbrowskiego. Zwłaszcza w czasie okupacji to jakoś do tego Ogrodu Saskiego lepiej chyba było nie zaglądać. Nie wiem już z jakich względów, przynajmniej w późniejszym okresie, ale na Plac Dąbrowskiego najczęściej chodziłem właśnie jako na takie zabawy.

Tomasz Sudół: A pamięta pan jakieś ważne wydarzenia, które miały miejsce w stolicy? Przed wybuchem wojny jeszcze.

Stanisław Olszewski: A przed wybuchem – tak, pamiętam. Proszę panów, pamiętam Horthego. Przybycie Horthego. Po prostu przechodzę, tam oczywiście nie sam, tylko z jakąś opieką, chyba mojej ciotki, która głównie się mną zajmowała, bo rodzice byli zajęci i koło Hotelu Europejskiego, i jest szum, Horthy wychodzi z tego hotelu. Oczywiście to jest mgnienie tylko, ale pamiętam ten moment tego takiego jakiegoś tumultu trochę Horthy. Przywódca Węgier ówczesny. To było przed wojną. A druga to manifestację też taką pamiętam, kiedy chodziło o wprowadzenie stosunków dyplomatycznych z Litwą i wtedy była wielka manifestacja właśnie w tym Parku Saskim. Oczywiście na Placu Piłsudskiego była główna część tej manifestacji, ale część ludzi jakoś manifestowała od strony Ogrodu Saskiego. Ja byłem też w tej manifestacji, wspominam to, bo później w domu jeszcze się o tym mówiło, o, też był w tej manifestacji, też wołał: „Wodzu, prowadź nas na Kowno!”. To było do Rydza-Śmigłego skierowany ten apel. „Wodzu, prowadź nas na Kowno!”, bo to było takie bojowe wszystko, że Litwa jest tam, robi jakieś nam wstręty, a Polska powinna działać. I chyba to był 1938 rok, ale to popołudnie pamiętam. Ojciec był bardzo tym zdegustowany, tą manifestacją. Uważał, że to zupełnie jest bez sensu i zbędne, i takie, w ogóle nie lubił tych... nie był Piłsudczykiem, to oględnie mówiąc, ale uważał, że tam jest dużo blani w tych manifestacjach, takiego entuzjazmu niepokrytego jakimś konkretnym działaniem, tak że...

Tomasz Sudół: A jakie miał poglądy polityczne?

Stanisław Olszewski: Bardzo prawicowe, ale właśnie antysanacyjne. Po prostu uważał, że to jest towarzystwo takie, które dużo mówi, ale mało robi, coś takiego, dla kraju. Tak bardzo krytycznie podchodził raczej do władz sanacyjnych.

Tomasz Sudół: Ale angażował się na przykład politycznie w jakieś stowarzyszenie czy....

Stanisław Olszewski: Nie.

Tomasz Sudół: Należał pewnie do zgromadzenia kupców czy tam przemysłowców, jakiegoś stowarzyszenia, ale nie. Politycznie nie brał udziału, żadnym.

Tomasz Sudół: A pan przed wojną rozpoczął przedszkole, prawda?

Stanisław Olszewski: Tak.

Tomasz Sudół: I później rozpoczął pan szkołę?

Stanisław Olszewski: A nie, szkołę dopiero w czasie okupacji, bo miałem iść 1 września 1939 roku do pierwszej klasy szkoły Górskiego, ale oczywiście była kontrowersja pomiędzy rodzicami, że do której szkoły mam iść, prywatnej, więc matka była za szkołą Górskiego, a ojciec był za szkołą Zamojskiego. Obie były prywatne. Górskiego była bliżej trochę, bo była tutaj za tym sklepem Wedla. Nie ma śladu teraz po tym budynku. Stoi tylko ten Górskiego, którego ja już nie pamiętam, bo on zmarł przed wojną. Ale budynek oczywiście doskonale pamiętam i ja tam miałem pójść 1 września do szkoły, do pierwszej klasy. Znaczący, bo matka tak chciała, a ojciec chciał Zamojskiego. Ale jak zwykle kobieta zwyciężyła i miałem iść do tego Górskiego w końcu. Ale było... w 1939 roku 1 września nie było mnie w Warszawie, tylko byłem jeszcze ciągle na wakacjach w Świdrze, w Otwocku, właśnie w Świdrach Wielkich i tam mnie zastał wybuch wojny. Tak że poszedłem do tej samej szkoły, bo ona nie była zniszczona w 1939 roku, ale dopiero w grudniu. I to już pod okupacją niemiecką.

Tomasz Sudół: A jak pan zapamiętał w ogóle 1 września?

Stanisław Olszewski: O! Doskonale pamiętam. Zapamiętałem właśnie w tych Świdrach Wielkich. To musiały mnie bomby chyba obudzić, bo bardzo późno wstałem. Bardzo późno wstałem. To było chyba już koło 11:00. Przecież normalnie bym tak nie wstał. I później musiałem zasnąć, bo Otwock był bombardowany 1 września. Tam był zresztą węzeł kolejowy, ale tam i zginęli ludzie, i to jakiś żydowski sierociniec był zbombardowany. Oczywiście to wszystko wiem znacznie później. I pamiętam, wstając tak późno i mówię: „Śniadanie!”, bo byłem zgłodniały. A ciotka mówi: „Stasiu, wojna jest. Wojna”. To ja mówię: „Hura! Hitlera pobijemy”. Byłem w ogromnym entuzjazmie po prostu, w takim nastroju entuzjastycznym. Pamiętam jeszcze do tego domku, gdzie tam tego dnia przyjechał jakiś pilot polski pożegnać się pewnie z rodziną, z matką, takim samochodem, półciężarówką taką. Pilot czy jakiś... ktoś z lotnictwa. Może to nie był pilot, tylko taki po prostu żołnierz lotnictwa, to pamiętam. I walki te też widziałem tego dnia, bo matka mnie zabrała dopiero chyba w niedzielę, 3 września do Warszawy, z tego lotniska zabrała, przyjechała, ale tak te pierwsze dwa czy trzy dni byłem w tych Świdrach, więc te walki widziałem, ale nie widziałem żadnych jakichś rezultatów tych walk.

Tomasz Sudół: I od trzeciego był pan w Warszawie, tak?

Stanisław Olszewski: Tak. Od trzeciego byłem w Warszawie. Niedługo, ponieważ już szóstego był ten apel.

Ojciec miał jak zwykle jakieś wcześniejsze wiadomości i mówi do matki: „Ja muszę wyjść z Warszawy, bo wszyscy mężczyźni powinni wyjść, bo tam mogą być potrzebni na Wschodzie”. Znaczący taki nastrój był patriotyczny ogromnie. I wtedy matka mówi, że: „Nie. Sam nie wyjdiesz. Ja też pójdę z tobą z tej Warszawy”. I mnie zabrali. Tak że 6 września, pamiętam, w środę, przygodną furmanką wyjechaliśmy z Warszawy i z takim podręcznym bagażem, myśląc, że przeczekamy tę wojnę gdzieś tam na Wschodzie.

Tomasz Sudół: I w którym kierunku się udaliście?

Stanisław Olszewski: Więc furmanka jechała w kierunku Otwocka. I pojechaliśmy tą furmanką do stacji Otwock. Tam dojechaliśmy. To było już grubo. Pamiętam doskonale tych żołnierzy naszych na Moście Poniatowskiego, którzy czekali przy karabinach maszynowych, przeciwlotniczych, tak pamiętam, oparci, bo nie było nalotu. Tacy odprężeni. To pamiętam. Działa w Alejach Jerozolimskich pamiętam, ustawione już w kierunku zachodnim. I do tego Otwocka dobrnęliśmy tam gdzieś późno w nocy. Oczywiście już się tworzyły zatory. To wszystko, ta droga trwała o wiele dłużej niż powinna, bo takich, co tam chcieli jechać na Wschód było więcej. I nalot był, tak że wysiedliśmy raz z tego wozu, ale ten nalot właściwie był niegroźny, tam jakieś pojedyncze samoloty niemieckie kursowały. Ale przyznam się, nie widziałem żadnych wtedy tego dnia skutków nalotu. To były jakieś pewnie zwiadowcze samoloty.

Tomasz Sudół: I z Otwocka udaliście się gdzieś dalej?

Stanisław Olszewski: Tak, pociągiem. To jest pociągiem, wsiedliśmy w pociąg taki, który jechał na Wschód, pewnie do Lublina. W każdym razie ten pociąg się niemiłosiernie włócił, bo pamiętam, że później już było dobrze po... koło południa może, ale ten pociąg zjechał tam gdzieś za ledwie, jeszcze do Dębina nie dojechał, a były naloty na Dębin, o czym ja oczywiście nie wiedziałem. Ten pociąg nie był bombardowany. Pamiętam przeciwny pociąg, który jechał z polskim wojskiem i pamiętam, ci żołnierze dodawali tym uchodźcom, którzy byli w tym cywilnym pociągu, otuchy, mówi: „Bydgoszcz znów w naszych rękach!”. Tak wołali do nas. To doskonale pamiętam. Ten nastrój, no w ogóle pełen entuzjazm wojska wtedy i to było dla mnie wielkie przeżycie, że ci żołnierze do nas wołają: „Bydgoszcz znów w naszych rękach!”. Oni jechali na front, a myśmy jechali od frontu w kierunku Lublina. I ten pociąg znowu stanął, i wtedy chyba matka... tak, matka, ale skąd miała wiadomość, że tam będzie bombardowanie, że może być bombardowanie tego pociągu, postanowiła opuścić ten pociąg, postanowiła, to matka zdecydowała. A pociąg... była straż, posterunki polskie, mówili, żeby nie wysiadać z pociągu. Oni uważali, że to daje jakiś sygnał dla tych samolotów, że jest jakiś ruch. Raczej właśnie byli, tak teraz to rozumiem, za bezruchem, ale matka, pamiętam, odepchnęła tego strażnika i kazała nam się, i mnie, i ojcu, wynosić. I proszę sobie wyobrazić, myśmy z tego pociągu wyszli, myśmy wyszli i pieszo, bo przecież nie ma... Wzięliśmy jakiś [niezrozumiałe, 00:19:43], a resztę bagaży żeśmy zostawili w tym wagonie. To przecież mieliśmy jakiś ten bagaż. I o dziwo... I szliśmy pieszo. Tych lejów było mnóstwo po bombach, pamiętam, mnóstwo było koło tego dworca. To nie wiem, nie pamiętam, jaka jest stacja, ale przed Dębiniem była. Wreszcie dotarliśmy do jakiejś wsi, pieszo, ale w tej wsi tam nas nakarmili i wróciliśmy już jakąś furmanką po te rzeczy i już było dobre popołudnie, i o dziwo ten pociąg stał, nie odjechał, i mogliśmy zabrać te rzeczy. Od tej pory już do żadnego pociągu nie wsiedliśmy, tylko furmankami. Rodzice przyjęli taki system, że wynajmowali furmankę na noc, tą furmanką gdzieś jechali na Wschód, pewnie podawali jakiś cel, tego nie wiem, temu woźnicy, temu chłopu

wynajętemu, a rano, dzień żeśmy spędzali gdzieś u jakichś gospodarzy i to się znowu powtarzało. I tak żeśmy się powoli przesuwali na Wschód, ale już do pociągu nie wsiedliśmy.

Tomasz Sudół: A gdzie finalnie dotarliście wtedy?

Stanisław Olszewski: Finalnie to był niezbyt dobry wybór, bo finalnie doszliśmy aż pod Kowel. Pod Kowel. Maciejów. Doskonale pamiętam tę nazwę, bo wtedy żeśmy zawrócili z powrotem. Myślę, że... znaczy nie myślę, jestem prawie pewien, że rodzice dostali wiadomość o wkroczeniu Sowietów, że... był bardzo pogodny dzień. Ta wieś była zupełnie... to jest duża wieś pod Kowlem, bo tam na mapie kiedyś wiele razy sprawdzałem. Jakieś niecałe 30 kilometrów od Kowla i to był taki bardzo pogodny, spokojny dzień. Pamiętam, że ta wiadomość, że jakie poruszenie było po tej wiadomości i wtedy ojciec podjął od razu decyzję powrotu, że nie jedziemy. Nie chciał absolutnie, tak że nigdy z bolszewikami myśmy się nie zetknęli. Zaczęliśmy znowu wracać nocami, tu w kierunku Bugu i za Bug tu już, i w Lubelszczyźnie przeczekaliśmy sporo dni u takiego gospodarza, taka jest wieś Rozkopaczew, tam żeśmy przeczekali chyba z dziesięć, kilkanaście dni. Może niecałe kilkanaście, jakieś dziesięć dni, zanim wyruszyliśmy z powrotem do Warszawy, oczywiście już zdając sobie sprawę, że wojna jest, kampania jest przegrana.

Tomasz Sudół: A w której miejscowości mieliście pierwszy kontakt z Niemcami?

Stanisław Olszewski: Tak. Ojciec był dość odważny. Jeszcze Niemcy szli bardzo szybko. Jeszcze jak szliśmy na Wschód, bo to, proszę panów, było tak, że można było spotkać ludzi, jakieś panie takie warszawskie, eleganckie, które szły miedzami, które szły wśród chałup. To były widoki zupełnie... I pamiętam, że była, rozeszła się wiadomość, że tam już gdzieś jest posterunek, że Niemcy są, ale nikt nie chciał tego sprawdzić. I ojciec mój powiedział, że jeżeli ktoś z nim pójdzie sprawdzić, to pójdzie sprawdzić. To pójdę pod ten posterunek. I ojciec poszedł, i wrócił, i mówił, rzeczywiście był posterunek niemiecki, ale wrócili obaj ci panowie. To jakiś był przygodny znajomy i żeśmy znowu dalej szli na Wschód, ale to było jeszcze w tym okresie. Tak że wracając do pana pytania, kiedy żeśmy z Niemcami, to było już, jak żeśmy opuścili ten Rozkopaczew. Po zaopatrzeniu się w żywność, wracamy do Warszawy i pamiętam, nad Wieprzem jakiś taki rodzaj folwarku i tam były setki Niemców. Od razu wojska. Ta wieś była... pierwsza rzecz to była placówka wojskowa niemiecka, która była jako czujka taka, ale myśmy mimo tej placówki, oni nas nie zatrzymali, wjechali w tę wieś. To raczej jakaś, może nie wieś, to był raczej jakiś folwark, jakaś osada. Bo taka była marszruta. Oni nas nie zatrzymują, i wjeżdżamy, gdzie były setki ludzi bijących się, szorujących, zajeżdżających samochodami pod rodzaj takiego dworu i to wszystko Niemcy byli. Tak że od razu żeśmy mieli ich setki obok siebie. Ale oni nas nie zatrzymywali. Jechaliśmy tą furmanką, tam działa były na pozycji, stały, bo trzeba było przejechać przez Wieprz i przez ten cały ośrodek, czy nazwijmy to osadę, przejechaliśmy, dojechaliśmy do Wieprza, most zerwany, nie można przejechać. Ale jest już zbudowany przez Niemców. I jest posterunek. I Niemiec mówi: „Nie. Musi być przepustka od Niemców, że wolno wam tym mostem przejechać, tym prowizorycznym tam z boku”. Po co oni zbudowali, tego nie wiem, ale był. Widocznie uważali, że to im będzie potrzebne. I ojciec z tych furmanek, bo myśmy wynajęli, ojciec przecież z końmi kupił wóz i parę koni, ale nie miał tak do czynienia z końmi, więc ten gospodarz, u którego mieszkaliśmy w tym Rozkopaczewie, zgodził się nas dowieźć do Warszawy jako woźnica po prostu. I razem z tym woźnicą, bo ojciec nie chciał iść sam do tych Niemców po tę przepustkę, poszli, a myśmy z matką czekali na wozie

na ich powrót. Tak że to trwało dosyć długo i dostali przepustkę. Dostali, pamiętam, mnóstwo cyganów tam jechało, wozów z cyganami, którzy stanęli za nami, ich przepuścili i jak była ta przepustka, ten posterunek nas przepuścił za ten Wieprz. To się zjechało oczywiście z tej głównej drogi, trzeba było do takiego... I tam nie było ani śladu Niemców, ani jakiegokolwiek wojska. Znowu żeśmy poszli, jechali do najbliższej wsi i tam na noc, bo już się zrobiło ciemno. I tam, pamiętam, w tym Michowie, bo tam jest Michów, taka miejscowość, którą żeśmy też zresztą zawadzili, idąc na Wschód. W tej miejscowości Michów też zatrzymaliśmy się na kilka dni, bo Warszawa kapitulowała. Kapitulowała i pamiętam, taki żołnierz był, przyszedł jakiś z Warszawy, czy uciekł, czy wyrwał się. Zwykły żołnierz polski i opowiadał, że Warszawa jest zbombardowana, zgruzowana. Właśnie to słowo „zgruzowana” i nas po prostu uprzedzał niejako, co możemy tam zastać w tym mieście. No, ojca to bardzo poruszało. Ale wracamy, oczywiście nie ma innego wyjścia, tylko wracamy. I tam już, nie wiem, z tego Michowa jedziemy przez Garwolin, to jest pierwsze miasto, które widzę spalone w życiu. To był już zupełnie spalony ten Garwolin, tylko stały kikuty i takie spalenizny za, ale to już kilka dni musiało być, może więcej niż kilka dni, spalone. Tak że ta spalenizna już nie była taka dotkliwa. I wjeżdżamy na szosę już w kierunku Warszawy. I to jest najbardziej wstrząsający widok, jaki w ogóle chyba w życiu widziałem. Proszę sobie wyobrazić, tą furmanką, właściwie nikt za nami nie jedzie, jesteśmy zupełnie samotni na tej szosie i skręcamy w kierunku Warszawy, i widzimy nie setki, ale tysiące koni martwych po obu stronach szosy, odciągniętych widocznie już, bo jeżdżą po tej szosie patrole od czasu do czasu, niemieckie, środkiem. Natomiast po bokach leżą martwe konie z tymi sterczącymi nogami. I to jeden przy drugim, czy jeden nawet prawie koło drugiego. Jedno na drugim niemal. I to jest widok, który nam... odpowiedni zapach też jest od tych martwych zwierząt. Jedziemy w kierunku... a po obu stronach szosy groby. Setki, tysiące grobów po dwóch, po jednym, po pięciu, po siedmiu. Sądząc po krzyżach i tak, i w tą. Na polach. Pełno grobów. I to jest widok, który oczywiście pamiętam, nie do zapomnienia i cała droga do Warszawy, no, nie dojechalibyśmy tego dnia do Warszawy. Ojciec nie chciał wieczorem wjeżdżać do miasta, tylko postanowił zanoć, chyba w Wiązownie zanoć, ale ta droga to jest droga przez cmentarz. Ten cmentarz koński i cmentarz ludzki po obu stronach. To niewiarygodna liczba tych grobów była po obu stronach szosy. I to były czapki na tych grobach, jakieś jeszcze resztki czy jakieś ubranie. Pewnie może znaki ludzie zostawiali, żeby tam ktoś jeszcze trafił później do tych grobów. W każdym razie wrażenie niesamowite. Te groby były bezładne. To nie było jakoś ustawione. To był jeden tak, drugi tak, jeden z trzema krzyżami, jeden z pięcioma, jeden z jednym krzyżem. I ten cmentarz towarzyszy nam aż do samej Warszawy. Po tej Wiązownej wracamy rano rzeczywiście. To rano już takie się nie zrobiło, bo zanim przeszliśmy przez ten zbity Grochów, bo widzimy te zniszczenia na Grochowie, na Goławku, to oczywiście nie są wielkie budynki, ale są zbombardowane i wtedy wjeżdżamy chyba Grochowską. Nie tą najkrótszą drogą, tylko właśnie nie wiem dlaczego Grochowską. Może ta najkrótsza była. Przecież tam były jakieś przeszkody przez Polaków robione, jakieś barykady. I wjeżdżamy w końcu w okolice chcemy, Mostem Poniatowskiego wrócić do centrum, do siebie. A tutaj jest wielka bariera. Tu Niemcy dopiero pokazują, kto tu rządzi. Widzimy pusty most za tą barierą, znaczy bariera ludzka, kordon stoi po prostu niemiecki, który nikogo na ten most nie wpuszcza. I ten polski tłum, który chce się przedostać do miasta, zatrzymuje się na tym kordonie Niemców, którzy nikogo nie wpuszczają. I znowu jest walka o przepustkę o przejazd przez most. Oni tu legitymują. To jest pułapka, po prostu chcieli wylegitymować tych ludzi i tych... tak teraz uważam oczywiście, i to trwa. To trwa, ale w końcu ojciec dostaje ten... Pewnie pokazał dowód, dowody pokazali, że są z Warszawy, że są z centrum i dostajemy pozwolenie przejazdu przez Most Poniatowskiego. Ruszamy tą furmanką i co mnie dziwi, że ten most, już te uszkodzenia są zreperowane przez Niemców. Już są zreperowane przez Polaków pod nadzorem niemieckim. Tak że wjeżdżamy, przejeżdżamy Most

Poniatowskiego, dojeżdżamy do Brackiej i tu już oczywiście widzimy inne typy zniszczenia. Są kamienice czy tam domy rozprute od dachu do piwnicy bombą burzącą, tak że widać jeszcze nawet czy lustra, czy obrazy jakieś wiszą, czy coś zawieszono na ścianach, i mają panowie przekrój całego budynku uciętego poprzez wszystkie mieszkania od dachu do parteru. I takich budynków jest sporo w mieście. Nie wszystkie oczywiście.

Tomasz Sudół: A spotkał się pan w trakcie tego powrotu do Warszawy z widokiem żołnierzy polskich, którzy byli wzięci do niewoli przez Niemców?

Stanisław Olszewski: Nie. Wtedy nie widziałem tamtego w tamtych dniach. Nie. Oni już, to już był październik. Myślę, że oni, to gro już było zabrane. To już był 10 października, bo myśmy byli w tej wsi Rozkopaczew i później w tym Michowie, tak że to już była pierwsza dekada października. Nie spotkałem się. Oczywiście tam jakieś może były, ale ja nie widziałem tych jeńców. Później czasami widywałem, później już po powrocie do Warszawy. Byli brani do odgruzowań, do jakichś tam robót byli ci jeńcy potrzebni.

Tomasz Sudół: A gdzie byli oni trzymany? Tutaj na terenie Warszawy gdzieś?

Stanisław Olszewski: Nie wiem.

Tomasz Sudół: Ale byli widoczni na ulicach, tak?

Stanisław Olszewski: Tak. Pod eskortą byli. Byli widoczni, tak.

Tomasz Sudół: I to jeszcze jesienią 1939 roku?

Stanisław Olszewski: Tak, oczywiście. Później już zniknęli zupełnie. Tak. Wiem, że oni tak... Pamiętam dobrze te, bo przecież wiele domów zajmowało ulicę i Polacy, ci jeńcy, odgruzowywali i Żydów chyba też brali od razu Niemcy, te grupy Żydów, ale to byli pierwsi pracownicy, to byli jeńcy i Żydzi.

Tomasz Sudół: A gdy przybyliście do Warszawy, to sklep był jakoś zdewastowany na przykład czy...

Stanisław Olszewski: Był już... Słucham?

Tomasz Sudół: Czy sklep był zdewastowany na przykład jakoś?

Stanisław Olszewski: Nie. Bo moja ciotka została na posterunku i nawet w sklepie podobno pracowali ludzie, póki można było, bo tam rodzice przed wojną maski gazowe szyli. Ludzie myśleli, że te maski będą potrzebne i kupowali. Tak że mieli bardzo dużo klientów, tak że nawet chyba w pierwszych dniach wojny to tam kolejki się ustawiały i to bardzo wcześnie. I ten sklep nie był zamknięty. Były jakieś osoby, które tam były desygnowane przez rodziców i to poprowadziły, ale już jak wróciliśmy, to sklep był zamknięty, bo było najgorsze z tego, co ciotka opowiadała,

bombardowanie w poniedziałek, chyba 25 września czy 24. Tego ja nie... Nie byłem w czasie tych bombardowań i wtedy cała wystawa, szyba runęła i po prostu sklep był od podmuchu bomb zdewastowany, tak że już później nie działał przez te ostatnie dni. Rodzice to reaktywowali w jakimś tam czasie.

Tomasz Sudół: Jak wyglądały te pierwsze dni po powrocie do stolicy i jak ta stolica się zmieniła pod panowaniem Niemców?

Stanisław Olszewski: Tak, właśnie. Dobre pytanie, bo pamiętam, przede wszystkim nie było żadnych środków komunikacji. Groby. Groby na ulicach to pierwsza rzecz, która zresztą jeszcze zanim tą furmanką dojechaliśmy pod dom nasz, od strony Moniuszki był wjazd, bo przecież skądś trzeba było wjechać tym wozem na podwórko. Tam mieliśmy sporo żywności, matka się zaopatrzyła, więc trzeba było wjechać na podwórko, ale widzieliśmy te groby, które były na skwerach, zwłaszcza tu, gdzie ten Dom Pod Orłami stał, ten bank. On jest, w tej chwili nadal istnieje, ten dom, i jakoś Powstanie też przetrwał ten gmach. Tak że te groby były, te rozprute domy, jak wspominałem, a po tych dniach to byli oczywiście już Niemcy wszędzie. Patrole i tak dalej, pod różnymi postaciami. A środki komunikacji żadne. Ale Niemcy skądś sprowadzili takie bure autobusy. To były właściwie takie ciemnoszare czy brązowawe. Jakoś nigdy takich autobusów nie widziałem w Warszawie, ale one działały. Ale one były tylko dla Niemców. Tak że ja raz z ciotką próbowałem wsiąść i jakiś, chyba nawet nie konduktor, nie wiem, czy tam był konduktor, tego nie pamiętam, w tym autobusie. Się jakiś Niemiec spytał: „Sind Sie Deutsch?”. A ciotka powiedziała: „Nie” [Nein]. „Raus!”. Nie wolno było. Dla Polaków to nie były środki komunikacji. Kiedy ruszyły tramwaje oczywiście o autobusach, przed wojną były i tramwaje, i autobusy, nie było mowy, bo wojna to trzeba paliwo, Niemcy przecież oszczędzali paliwo. Autobusy już nie powróciły, ale tramwaje powróciły za jakiś czas. W czasie okupacji. Kiedy, to tego nie pamiętam. Ale to zetknięcie z tymi niemieckimi autobusami, takimi kawowymi, to doskonale pamiętam. To „Raus!”, że nie możemy wejść. To pamiętam.

Tomasz Sudół: A sklep funkcjonował?

Stanisław Olszewski: Tak. Był otwarty. Oczywiście. Tak. I wytwórnia później też została otworzona. Tak, trzeba było z czegoś żyć.

Tomasz Sudół: Czyli do Powstania Warszawskiego ten sklep funkcjonował normalnie?

Stanisław Olszewski: Tak. Do 1 sierpnia.

Tomasz Sudół: A pan od grudnia zaczął naukę w szkole?

Stanisław Olszewski: Tak. Chodziłem na Górskiego, bo ten budynek nie był zniszczony tej szkoły. Zresztą ja go nigdy przed wojną nie pamiętam, że bym tam był, że bym się zapisywał, czy chociaż przez ciekawość. Jakoś nigdy mnie tam nie zaprowadzili, bo zawsze byłem pod opieką starszych. Tak nie chodziłem po mieście samemu. I pamiętam, w pierwszych dniach grudnia poszedłem do szkoły. Tam Niemców w ogóle nie widziałem nigdy w tej szkole. Tak

że to było... polscy nauczyciele, sami chłopcy. Zresztą to była męska szkoła, to byli sami chłopcy w tej szkole. Oczywiście obok były zniszczone domy i nawet ten Wedla chyba był uszkodzony budynek, i inne częściowo, czy niektóre spalone, niektóre nie. Ale do szkoły chodziłem właśnie. I te ekshumacje. Te ekshumacje. Bo szło się rano do szkoły, a Niemcy wyciągali tych zmarłych. Znaczący kazali, bo to Polacy robili, ale pod nadzorem jakiegoś tam Czerwonego Krzyża było pełno tych ekshumacji, bo trzeba było tych zmarłych wydobyć, to oni to załatwili w ciągu kilku miesięcy tych zimowych. Tak że...

Tomasz Sudół: Czyli idąc do szkoły, widział pan te prace, które...

Stanisław Olszewski: Tak, te ekshumacje, tak, tak. To pamiętam, bo to i zapach odpowiedni, i nastrój taki. To nie było zbyt przyjemne. Pamiętam też jeden dość wstrząsający... taką ekshumację, tam, gdzie moja ciotka mieszkała. To było na Koszykowej. Ten dom stoi o dziwo do dziś. Przetrwiał jakoś i Powstanie, i ten... Ale musiała w to podwórko wpaść bomba, bo wynosili chyba wtedy właśnie jeńcy polscy na takich właściwie deskach, to ma swoją nazwę. Takich, no...

Tomasz Sudół: Takich kolibach.

Stanisław Olszewski: Takich właściwie, po prostu tak jakby brać z tego stołu tylko do trzymania, pokiereszowane ciała polskich żołnierzy. Czy tam wtedy akurat ci żołnierze siedzieli, czy mieli swoją kwaterę, ale to było kilkadziesiąt zupełnie pokiereszowanych ciał i to na ten samochód oni właśnie to. I żandarm oczywiście pilnował, żandarmi tych jeńców, a oni pracowali. To wstrząsające.

Tomasz Sudół: W którym to miejscu było?

Stanisław Olszewski: Koszykowa 35. Bo Koszykowa 33 mieszkała ciotka. A ten dom ocalał do Powstania.

Tomasz Sudół: A jeśli chodzi o naukę w tej szkole, to jak ona wyglądała w warunkach wojny?

Stanisław Olszewski: Więc ona zmieniała się. Z początku to właściwie wszystko, nie mam porównania z przedwojenną szkołą, ale byłem w tym przedszkolu tylko, ale nauka wyglądała normalnie, tylko był taki jakiś wyraźny... Była w podstawówce, czy to wtedy nazywało się „szkoła powszechna”, to była arytmetyka, polski normalnie, korzystaliśmy z przedwojennych podręczników, które używane się gdzieś kupiło, bo księgarnie otworzono na Nowym Świecie, u Arcta najczęściej kupowaliśmy, te książki u Arcta. To teraz jest tam księgarnia pod inną nazwą, ale to jest w tym... koło Wareckiej w prawo, w kierunku Alei Jerozolimskich. To była znana księgarnia Arcta z podręcznikami szkolnymi. Ale nie tylko ta. Gebethner i Wolff. Był wprawdzie zbombardowany, ale przecież to była największa księgarnia w Warszawie przed wojną. Na rogu Zgoda i Sienkiewicza, widziałem ją z okna swojego mieszkania, tego Gebethnera i Wolffa. Więc uszkodzona była wieża, ten budynek był uszkodzony, ale pracowała całą okupację ta księgarnia. Nie było większej księgarni, moim zdaniem, w Warszawie. Nie pamiętam, żebym... Tyle wystaw było. Oni nawet mapę przez pewien czas pokazywali, tych zwycięstw niemieckich nad sowietami, jak wojna niemiecko-sowiecka się rozpoczęła, to była ta wielka mapa ZSRR i pokazywali front, no pokazywali, póki Niemcy wygrywali. Później pewnie tę mapę

skasowano, ale ta księgarnia istniała.

Tomasz Sudół: Ale ta mapa była w witrynie sklepu, tak? Czy...

Stanisław Olszewski: W witrynie sklepu, tak. W witrynie sklepu. To pamiętam doskonale. Przecież tam były na Marszałkowskiej eleganckie sklepy, później przejęte przez Niemców. Pamiętam z Hitlerem taka reklama. Przecież tam były sklepy z motorówkami, Królewska to były przed wojną sklepy z bronią myśliwską. Cała Królewska, pomiędzy Marszałkowską, a Placem Małachowskiego, niemal sklep przy sklepie to była broń myśliwska. Tej z okupacji nie pamiętam, ale zanim się doszło do Królewskiej, to przecież jeszcze były przyzwoite sklepy i tam były, pamiętam, niemiecki Hitlera, Hitler z płaszczem takim na rękę i taki napis: „Mein Feld ist die Welt”. „Moim polem jest świat”. Tak sobie stał, wpatrzony gdzieś w dal. To był taki sklep. Z czym? Już tego dokładnie nie pamiętam, ale na przykład na Placu Powstańców, dawniej Napoleona, to motorówki sprzedawali. Bardzo mnie to interesowało. Co w czasie okupacji, te motorówki, czym zastąpiono, nie wiem. O! Samochody sprzedawano na Marszałkowskiej. Tak że samochód mógł wyjechać ze sklepu. To były takie sklepy. I na Placu Powstańców obecnym, i na Marszałkowskiej bywały takie sklepy.

Tomasz Sudół: Pamięta pan sklepy żydowskie, które były przejęte przez Niemców na Marszałkowskiej?

Stanisław Olszewski: Nie. Takie rzeczy to myśmy... Na Marszałkowskiej ja w ogóle nie pamiętam żydowskich sklepów, ale możliwe, że były, ale nie było, przecież to nie było zaznaczone jakoś. Czy to był żydowski, to tego nikt nie wiedział, czy polski, czy inny. Ormiańskie były sklepy z pantoflami. Ormiańskie, ale to też przecież nie było zaznaczone, że to jest sklep ormiański. To tylko po nazwisku, ale przecież nie było... Ale pamiętam spożywczy sklep na Świętokrzyskiej, róg Jasnej, pan Szach. Pan Szach. Tam żeśmy kupowali. Pan Szach jeszcze przez pewien czas funkcjonował. Na Świętokrzyskiej było dużo antykwariatów. Pewnie też własności żydowskiej były, ale to przecież nie było nigdy zaznaczone. To były wszystko sklepy normalne, polskie. Czy to był Żyd, czy... To nikt się do tego nie wtrącał przecież.

Tomasz Sudół: Spotkał się pan z jakimiś formami konspiracji wtedy na terenie czy szkoły na przykład, czy...

Stanisław Olszewski: Nie, skąd. To było o wiele za wcześnie. Wtedy to jeszcze o konspiracji nie było mowy, ale zresztą myśmy byli za mali do tego. Nie, nie. Na terenie szkoły nie. Dopiero na komplety.

Tomasz Sudół: Kiedy te komplety się zaczęły?

Stanisław Olszewski: Dopiero w 1942 roku. Czyli pełne trzy klasy skończyłem w tej szkole i zaczęła się jesień 1942 roku, ja już byłem w czwartej i wtedy powiedziano: „Koniec szkoły”. Szkoła przechodzi do Niemców, więc potrzebna podobno na szpital. Ja nigdy już później tam nie zachodziłem. Podobno na szpital. I wtedy się zaczęły komplety. Tak że wtedy nas usunięto. Znaczący, po prostu przestaliśmy chodzić do tej szkoły i jeden z naszych nauczycieli z tej czwartej klasy, bo tam się zmieniali od przedmiotów, przecież była taka dość elitarna szkoła, ta Górskiego, myślę, że to było duże czesne więc byli od różnych przedmiotów. Osobno od rysunków, osobno od gimnastyki... To później

jeden nauczyciel prowadził ten komplet i to było na Lwowskiej 7.

Tomasz Sudół: W jakimś mieszkaniu prywatnym, tak?

Stanisław Olszewski: Tak. Ojciec jednego z kolegów, tak. Doktor Szymoński Zdzisław. On był lekarzem, był... Kim on był... On był od chorób tropikalnych, ale to była jego druga specjalność. On był chyba kardiologiem internistą, miał rentgena u siebie w domu, pamiętam, bo myśmy psa prześwietlali. Pokazywał nam te kości, jak pies macha tymi kośćmi, na tym ekranie to było. Więc żeśmy to... Tak nas wciągał trochę do tej medycyny. Ale w ogóle komplety, to był ten jeden nauczyciel, pan Krysicki Włodzimierz, właśnie z tej szkoły Górskiego, był wychowawcą, ale on się spóźniał, tak, że myśmy tam... było nas kilku. Te komplety były na pewno płatne i to chyba i sporo. Oczywiście nie mam pojęcia o stawkach, bo to rodzice wszystko załatwiali i tam, kiedy nauczyciel się spóźniał, to była laba, bo mogliśmy właściwie robić, co nam się podobało. Tam była jakaś gosposia, która była dość liberalna, więc tak. Ale wtedy się zaczęły jakieś sprawy konspiracji i trzeba powiedzieć, przychodził taki, przypuszczam, w tej... oczywiście on się nigdy nie przedstawiał, jakie on ma tam, broń Boże, przychodził taki nauczyciel też – Wuttke. Gustaw Wuttke. Przecież kilku Wuttke było w Batalionie „Zośka”. To byli jego synowie i chyba dwóch synów stracił, więc może to był któryś z tych jego synów, ja nie wiem, który nas zaczął wciągać trochę do harcerstwa. Ale oczywiście to słowo nie padało, tylko takie, że to ćwiczenia niby w rodzaju gimnastyki, ale to były takie harcerskie ćwiczenia, w parku tutaj chodziliśmy z nim, wielkopolskim, tutaj koło Filtrowej były te ćwiczenia. Ale i oczywiście on mówił też coś nam, historię normalnie żeśmy się uczyli z polskich podręczników przedwojennych. To mieliśmy podręczniki, więc to wszystko było polskie, to było normalne. I ten harcerz przychodził, i myśmy mieli z nim zajęcia takie właściwie pół, można powiedzieć, harcerskie. I Wuttke był znakomitym nauczycielem, ten Gustaw Wuttke. On przeżył wojnę, ale już później go nigdy tak bliżej nie spotkałem. Widywałem go czasem na ulicy. Tragedia, bo chyba dwóch synów i synową, i chyba jakaś córka inwalidka. On miał sporo dzieci. Był znanym kiedyś bardzo profesorem. Gustaw Wuttke. Gimnazjalny przede wszystkim, ale on uczył takich... Pokazywał nam minerały, pokazywał nam nawet meteoryty, przynosił. Bardzo interesująco w ogóle, jeśli chodzi o przyrodę. Robił jakieś doświadczenia chemiczne na tych kompletach, pokazywał nam. Tak że wciągał.

Tomasz Sudół: A czy ci profesorowie na przykład opowiadali, jak Polska będzie wyglądać po wojnie na przykład? Były takie dyskusje?

Stanisław Olszewski: Nie. Nigdy. Tego nie było. Mieliśmy swoje podręczniki historii. Tam były, jak wół, daty podstawowe, to jakie były: Bitwa pod Grunwaldem, Unia Lubelska. Oczywiście nikomu, że będzie taka sama jak przed wojną, ale to tylko to było. To było po prostu jak rodzaj pewnika, innego nie dopuszczano do głowy, że może być jakaś zmiana, bo przecież zwyciężymy. Ogromny prestiż Anglii wśród ludzi w ogóle Ameryki później po przystąpieniu do wojny. Wszyscy sobie wyobrażali, że wrócą po prostu jako zwycięzcy, polskie wojska, o tym coś tam słyszeliśmy po cichu, że tam lotnictwo, przecież bitwa o Anglię i tak dalej. To takie rzeczy dochodziły. Ale nie, podręczniki, były normalne zajęcia i to nie można było ani ściągać, trzeba było wszystko, bo nauczyciel siedział przy stole i wszystko widział. Tak że robota szła bardzo ostro, jeśli chodzi o uczenie.

Tomasz Sudół: A taki powiedzmy, te komplety się kończyły jakimiś egzaminami czy...

Stanisław Olszewski: Tak, on przepytывał, tak. Były przepytывania. Mógł każdego dnia zapytać. To były normalne, tak jak w szkole. Raz miał wykład, ale kiedy indziej mógł poświęcić odpytывaniu.

Tomasz Sudół: I pan uczestniczył w tych kompletach od grudnia 1942 roku, tak?

Stanisław Olszewski: Od jesieni przez cały rok, a później rodzice mnie wycofali z tego. W ogóle z kompletów. Do 1943 roku, a w 1943 na... Ja tam popełniłem dwa błędy i oni postanowili mnie... znaczy, błędy życiowe, bo coś już tam powiedzieć i mnie wycofano absolutnie z tych kompletów. Jeden z tych błędów, powiedzmy, no jest mniej kompromitujący dla mnie, ale tam chłopaki dali mi, żebym sobie obejrzał i później komuś oddał czy zwrócił im, znaczek, taki kościotrup niesie flagę hitlerowską i jest podpis „Deutschland kaput”. I to ja sobie obejrzałem, to był mniej więcej trochę większy znaczek pocztowy, czarny, pamiętam, dali mi i żebym się nim nacieszył. Ale ja o tym zapomniałem, że moje ubranie jest rewidowane, jak ja idę spać, bo tam reperacje były i tak dalej, i znaleźli ten znaczek. Był po prostu strach, że ja w ogóle coś takiego przyniosłem do domu i coś takiego miałem ze sobą. I wtedy zapadła decyzja, że jestem... Od razu mnie chcieli wycofać z tych kompletów, że ten znaczek miałem, ale jakoś do końca roku szkolnego przetrwałem.